Dodatek nadzwyczajny „Wielkopolanina".

OGNISKO DOMOWE.

Nr. 26. | Ognisko wychodzi raz w tydzień. Cena pojedyńczego nr. 5 fen. | Poznań, dnia 26 czerwca | Abonenci WIELKOPOLANINA otrzymają pismo to bezpłatnie. | 1910.

SZCZĘŚCIE.

Nie mówmy o szczęściu, którego pragniemy, nie mówmy o niem....

Szczęście jest jak mały ptaszek — łatwo je spłoszyć.

Czekajmy cicho — nie mówmy o niem, nawet nie myślmy — w ciszy serca, w głębi serca, pragnijmy go, tając przed własną myślą to pragnienie.

Bo szczęscie jest, jak światło w chmurach: wyjrzy na chwilę, zamigoce, ale tak łatwo napowrót się kryje!

Nie wzywajmy szczęścia, nie dążmy ku niemu, nie walczmy o nie; jak dzieci, którym się w Boże Narodzenie śni, że Chrystus do nich przyjdzie z podarkami i czekają Nań, trwożne, ciche, a niecierpliwe w obawie — czekajmy.

Jeśli ma przyjść, przyjdzie — nie idźmy ku niemu.

Szczęście jest jak słońce, o którem marzą kwiaty, jeden tylko dzień kwitnące — one nie mogą ku niemu iść, czekają.

Jeśli dzień jasny przyjdzie; jeśli chmury zakryją niebo, czekają próżno.

Uwiędną i nie zobaczą słońca. Wieczorem, w godzinie śmierci będą mówiły: „Otośmy próżno otwarły ku niemu kielichy nasze — nie przyszło..."

Czekajmy cicho na szczęście — ono jest dla serc czem słońce dla kwiatów, które tylko jeden dzień kwitną: jeśli ma przyjść — przyjdzie.
Nie mówmy o szczęściu, którego pragniemy, nie mowmy o niem — płochliwe jest jak ptak.

Kazimierz Tetmajer.

Czego człowiek pragnąć ma?
Czy mu lepiej żyć w pokorze,
Czepiając się lada źdźbła?
Czy w szerszym krążyć przestworze?...
Czy wznieść sobie domek mały?
Czy mieszkać pod namiotami?
Czy się schronić za skałami?...
Czasem wstrząsną się i skały:

Nie wszystkim jedno przystoi,
Niechaj każdy dba o siebie,
By przytułek miał w potrzebie
I nie upadł, kiedy stoi.

Z poezyi Goethego.

Marzenia róży.

Raz, gdy letnie szaty wdziewał
Piękny świat,
Cichym rankiem rozkwitł w pełni
Róży kwiat. —

Zefir słodko musnął listki
Skrzydłem fal
Z wonią róży rozmarzonej —
Pomknął w dal.

Marzy... — Niebo — ześle dla niej
Kryształ ros...
Ziemia, słońce — wiecznie błogi
Wróżą los...

Od motylków zbierze licznych
Hołdów rój, —
Lecz jednemu tylko szepnie:
„Miły mój!"

Wszystką słodycz listków swoich
Da mu spić...
I z wybranym — snem na jawie
Zacznie żyć!...

Gdyż nie pragnie nad to więcej
Róży kwiat...
Motyl, niebo, grządka własna —
To jej świat!

I choć wiele godzin minie,
Wiele dni,
Niech w zachwytach swych miłosnych
Róża śni; —

Niechaj nie wie, iż motylich
Uczuć moc

Chwiejną bywa, jako płomień
W wietrzną noc.
Że zły wicher złamać może
Kwiata pień,
Z wonnych listków — pozostawić
Zeschły cień!...

Ze wspomnień historycznych.

Dnia 30 czerwca 1651 roku stoczoną została ostatnia wielka bitwa z kozactwem siłami pospolitego ruszenia szlachty polskiej na polach Beresteczka.

Armia polska, pod naczelnem dowództwem samego króla Jana Kazimierza, stając w dniu 27 czerwca obozem pod Beresteczkiem, liczyła ogółem około stu tysięcy ludzi; z tego około 4000 piechoty zaciężnej, resztę jazdy przeważnie szlacheckiego pospolitego ruszenia. Armia kozacko-tatarska, zbliżając się olbrzymim taborem, obliczoną była na 350 tysięcy ludu zbrojnego, przeważnie niekarnej zbieraniny, z tem wszystkiem niemniej groźnej swą liczebną przewagą.

Król w obec tego, pomimo zdania hetmanów, w których odrastała znów względem kozactwa dawna „rogata pycha polska“, okopał się i postanowił nazajutrz zaraz wydać bitwę. „Oboje dobrze zrobił“ pisze współczesny.

Dnia więc 28 czerwca obie armie ujrzały się naprzeciw siebie, gotowe do walki.

Armia kozacka wysunęła się półksiężycem, którego prawe skrzydło zajmowali kozacy, lewe zaś tatarzy, środek otoczony taborem, zajmował wybór kozactwa, spahów i janczarów tureckich. Z polskiej strony prawem skrzydłem dowodził Potocki wielki hetman koronny, lewem Kalinowski hetman polny koronny. Król zajął środek z piechotą polską i niemiecką, przed którą uszykowała się groźna artylerya pod wodzą Krysztofa Przyjemskiego. Rezerwie przewodził brat królewski Karol. Ażeby zaś zabezpieczyć swoje tyły, oraz „odjąć tchórzom nadzieje ucieczki“ kazał król mosty na rzece zniszczyć. Czterogodzinna walka okazała wielką przewagę nieprzyjaciela. Już ze strony polskiej chwiać się zaczęto, kiedy pojawił się wśród ognia sam król z groźną twarzą, z dobytą szpadą w ręku, powstrzymał uciekających i rzucił na chmarę zbliżającego się Tatarstwa dzielne szwadrony kopijników polskich. Tatarzy nie wytrzymali natarcia i pierzchli. Król, lękając się zasadzek, zatrąbić kazał na odwrót.

Han tatarski, natrafiwszy na niespodziewany opór, zamierzał się cofać, ledwie go powstrzymał Chmielnicki nadzieją pewnego zwycięztwa. W nocy do obozu polskiego doniesiono, że nazajutrz nieprzyjaciel uderzy wszystkiemi siłami. Od tej rozprawy więc zależał los wojny i los Rzeczypospolitej. Król, wobec groźnego jutra, zwołał w nocy radę wojenną; Leszczyński kanclerz wielki koronny zaklinał króla, aby wyjeżdżał i nie narażał drogiego życia swojego.

— Całości mojej — odrzekł król — od całości narodu oddzielać nie umiem, jedna dusza ożywia króla i naród. Mogli inni królowie w mniejszych niebezpieczeństwach dawać z daleka rozkazy, inna jest potrzeba dzisiejsza; po Bogu, przytomność wodza zapewnia zwycięstwo, niech wie rycerstwo i nieprzyjaciel, że król na czele!

Na tem zakończyła się rada. Wydano hasło: Bóg z nami!

Na rozkaz królewski, ledwie świt zarumienił wschód, odprawiano mszę świętą na wystawionych naprędce ołtarzach. Król odziany w burkę żołnierską otoczony czterema tylko starymi towarzyszami huzarskimi, objechał szyki.

— Polacy! — mówił król — tak trzymam o waszej odwadze i żarliwości, że dziś uwolnimy na zawsze ojczyznę od tych okropnych najazdów!

Kanclerz z kapłanami obozowymi podnieśli krzyże w górę i dali rozgrzeszenie rycerstwu. Na głos króla husarze, gotowi w tym dniu tylko mieczem walczyć, odrzucili kopie, które zatknięte na szańcach, wyglądały z daleka jakby nowe wojska. Skoro mgła opadła ruszono do boju. Zerwał się silny wicher i pędził tumany kurzu w oczy nieprzyjaciela. Rozpoczął walkę Wiśniowiecki atakiem dwunastu chorągwi starego żołnierza, za nim ruszyły barwne szyki szlachty krakowskiej, sandomirskiej, łęczyńskiej i przemyskiej, pod wodzą Stanisława Potockiego wojewody podolskiego. Główne atoli natarcie wymierzył sam król. Zwycięstwo było zupełne. Wieczorem cała armia polska na podziękowanie za zwycięstwo zaintonowała: Boga-Rodzico!

Nieomylność Ojca św.

Było to w listopadzie 1514 roku. Pod pięknem niebem Toskanii pewien pracowity wieśniak kopał starannie ziemię swego ogrodu. Synek jego, chłopiec dziesięcioletni, przybiegł do ojca i zaczął prosić:

— Daj mi, ojcze, mały skrawek ziemi, ot tam w słońcu, pod murem, nie większy, jak tyle.

— Mówiąc to, dziecko nakreśliło nóżką mniej więcej metr kwadratowy.

— Cóż ty chcesz z tem zrobić?

— Zasadzę cośkolwiek.

— To dobrze, dam ci ten kawałek ogrodu, jakiego sobie życzysz.

— Uradowany chłopiec pobiegł natychmiast do swego przyjaciela, Michała Chisleri i obydwaj złożyli naradę.

— Cóż zasadzimy?

— Ojciec obcina wino — odpowiedział Michał — gdybyśmy go poprosili o szczep?

— Wyborna myśl!

Nazajutrz rano dzieci były przy pracy, kopały i grabiły swój kącik ziemi, odrzucając starannie każdy kamyczek, a wieczorem zasadziły w tej ziemi, troskliwie przysposobionej, szczep wybrany z pośród tysiąca. Chłopcy opiekowały się szczepem i podlewały go pilnie.

Ale roślina zdawała się taka sucha, mały ogródał tak smutno, że Michał Ghisleri, przypatrzywszy mu się, zadecydował:

— Oto winnica, z której nigdy nie napijemy się wina.

Pięćdziesiąt lat przeszło po nad owem małem zdarzeniem, które opisaliśmy co dopiero. Michał Ghisleri rządzi Kościołem świętym pod imieniem Piusa V. Pracuje w swojem gabinecie, kiedy odgłos jakiejś żywej sprzeczki dochodzi do jego uszu.

Wieśniak jakiś z baryłką wina na ramieniu chce koniecznie, aby go wprowadzono do Ojca świętego i zapełnia przedpokój okrzykami oburzenia, widząc, że trzeba dobijać się o wpuszczenie.

— Powiedzcie naszemu Ojcu świętemu, że jestem Józefem, jego towarzyszem z lat dziecinnych.

W tej chwili otworzyły się podwoje i Pius V z otwartemi rękoma, z uśmiechem na ustach zbliżył się do wieśniaka, który postawiwszy beczułkę, tak się odezwał:

— Ojcze święty oto wino, które zasadziliśmy razem przed pięćdziesięciu laty. Wtenczas jeszcze Wasza Świątobliwość nie był nieomylnym!

— Nie byłbym nim i dzisiaj w tych rzeczach, stary mój przyjacielu.

— Jakto?... Jakto?... A ja przybyłem, aby zasięgnąć rady Waszej Świątobliwości, by się dowiedzieć, czy lato będzie gorące i czy...

Wesoły wybuch śmiechu Papieża przerwał dalsze słowa poczciwego wieśniaka.

— Mój przyjacielu — rzekł Ojciec święty — nie wiem nic więcej od ciebie w tych sprawach i miałbym więcej zaufania do twego doświadczenia, aniżeli, do mojej nieomylności w tym względzie. Papież jest nieomylnym, gdy naucza, jako Głowa Kościoła, czy to objaśniając jakiś punkt nauki Kościoła, czy też nauki moralności. Po za to nieomylność jego nie sięga.

Wieśniak uczuł się wielce zawiedzionym w swych nadziejach, ale go pocieszyło serdeczne przyjęcie, jakiego doznał ze strony Namiestnika Chrystusowego i zrozumiał wreszcie, że sprawy ziemskie nie mają nic wspólnego ze sprawą rządzenia nad duszami.

Giermek książęcy.

Obrazek z przeszłości pogańskiej Litwy.

Ciemna cela więzienia krzyżackiego zamczyska zamknęła się za jednym z najdzielniejszych rycerzy pogańskiej Litwy. Było to w roku 1361. Kiejstut na czele wybornego oddziału wpadł na Niemców w okolicy Memla i rozgromił ich, rzucając postrach na całą okolicę.

Atoli w jednej potyczce, gdy zapuścił się w głąb puszczy, został otoczony przez przeważającą liczbę wrogów.

Bez hełma, ze złamanym mieczem, mając zabitego konia, książę pogańskiej Litwy cofnął się pod osłonę stuletniego dębu.

Poskoczył za nim jeden z Niemców, nie domyślając się nawet na kogo mieczem godzi.

Książe nie bronił się, czując nagły upadek sił i brak broni.

Niemiec wzniósł miecz do góry.

— Przestań! — zawołał książe — jestem Kiejstut.

Nadbiegli inni Niemcy, którzy znali księcia i omdlałego z wysiłku zabrali do niewoi.

Zamknęli go w ponurem zamczysku, zbudowanem na zagarniętej przez krzyżaków ziemi litewskiej, więziono w ciemnej sali, o małem okratowanem oknie.

Długie dnie i noce przebył tutaj bohater, marząc o ojczystych puszczach i utraconej swobodzie, lecz nie mogąc znaleźć sposobu do ucieczki.

Aż pewnej nocy dał się słyszeć dziwny jakiś głos puszczyka, a potem dały się słyszeć słowa:

— To ja... Alf...

Książe drgnął.

— Alf... giermek mój wierny!... to on mnie wzywa.

Tak, był to Alf, młody Litwin, który od lat wielu będąc w niewoli krzyżackiej, zyskał sobie zaufanie Niemców. Teraz przypomniała mu się ojczyzna i pragnął jej oddać przysługę, pomódz do ucieczki księciu i wrócić z nim do puszcz rodzinnych.

I od tej nocy zaczęło się przepiłowanie kraty żelaznej w oknie więzienia książęcego. Pomagał Alf, który przyniósł potrzebne narzędzia.

Wyrwano kratę. Wydostał się książe na zewnątrz. Był wolny.

— Gdzie konie, Alfie? — zapytał.

Wierny giermek obejrzał się i nagle dreszcz nim wstrząsnął.

Na wzgórzu, tuż przy fosie zamkowej, gdzie zostawił konie, knechci niemieccy rozpalili ognisko i ustawili szubienicę, aby wieszać więźniów litewskich.

Bez namysłu skoczył Alf z mieczem wzniesionym w górę i uderzył na oprawców. Książe cofnął się i korzystając z zamieszania, dosiadł konia. Czas było w drogę.

Ocalony przez Alfa jeniec porwał się z ziemi, wszczęło się zamieszanie.

Wśród puszczy rozległ się nagle tętent kopyt końskich.

I trzej jeźdźcy popędzili w stronę Mazowsza.

Ciemne chmury zasłoniły światło księżyca, wicher powiał burzliwy, jęcząc wśród drzew.

Knechci niemieccy stanęli trwożni, nieradni.

Dopiero w chwil kilka zbliżył się do nich dowódzca, opasły Niemiec, klnąc i wymyślając.

— Niedołęgi!

W pół roku później Kiejstut jak piorun uderzył znów na Niemców. Okolice Malborka poczuły uderzenia jego miecza, tysiące oswobodzonych jeńców litewskich błogosławiły jego imię.

ROZMAITOSCI.

Sprytny Mosiek.

— No, wyrwał ci dentysta chory ząb?

— Tak, tatele.

— A przecie przyniosłeś pieniądze z powrotem, co ci dałem.

— Bo krzyczałem, co mi wyrwał fałszywy, to mnie dentysta co prędzej wypchnął za drzwi!

W aptece.

— Proszę olejku rycynowego, ale proszę go tak przyrządzić, żeby go cznć nie było.

— O, to nic trudnego, racz pani spocząć; w jednej chwili przygotuję, a może pani tymczasem pozwoli szklaneczkę limonady malinowej, wyborna!

Dama dziękuje uprzejmie i wypija.

— No i jakże, poznała pani?...

— Co takiego?

— Olejek!

— Olejek? Ależ, na Boga!... To było nie dla mnie!...

Właściwy powód.

— Spojrz na Emila, od czasu, kiedy jeździ na samochodzie, strasznie zdumiał, nos do góry zadziera.

— To nie z dumy.

— A z czego?

— Z zapachu.

W nauce.

Franek: — No, jakże ci się u twojego majstra podoba?

Jonek: — Majster jak majster, ale majstrowa to istny zegar.

Franek: — Taka punktualna?

Jonek: — Co to, to nie, ale co godzinę... bije.

U doktora.

— Więc pan twierdzi, że zimne kąpiele mogą byc skuteczne na moje cierpienia.

— O tak! zimne wcierania mogę gorąco polecić.

Kto ma słuszność?

Sędzia: — Czego sobie życzycie, gospodarzu?

Grzybek: — Panie sędzio, mój sąsiad obraził mnie ciężko, więc go muszę skarżyć.

Sędzia: — Cóż wam powiedział?

Grzybek: — A bodaj cię psy zjadły!

Sędzia: — Ależ to nie jest obrazą. Psy zresztą nie posłuchały go i nie zjadły was.

Grzybek: — Tak, to nie jest obrazą? Więc niech pana sędziego także psy zjedzą!

Okropność.

Melancholik przed sklepem rzeźnickim:

— Mój Boże! Wczoraj jeszcze te kiszki były w wieprzach, a dziś... już wieprze są w tych kiszkach.

Pan: — Powiedziałem już raz, że zdrowym nie daję nic...

Żebraczka: — Cóżto, pan chce, żebym dla pańskiej kopiejki zaraz cholery dostała?

Nauczyciel prawi dzieciom o grzeczności. Aby to praktycznie objaśnić przykładem, powiada: — Wicusiu, jeżeli ci ktoś będzie dawał do wyboru dwie kiełbasy, jednę dłuższą, drugą o połowę krótszą, którą przyjmiesz?

— Krótszą — woła Wicek.

— Bardzo ładnie — rzecze nauczyciel — a czemu tę krótszą.

— Bo bym tej dłuższej nie zjadł — odpowiada „grzeczny“ Wicuś.

W zapale.

Kandydat na posła (w swej mowie agitacyjnej):

— Chcecie mieć nową szkołę — wybierzcie mnie! Chcecie nową drogę — wybierzcie mnie! Chcecie mieć rasowe bydło — wybierzcie mnie!“

Dziedziczni.

— Co? znowu jesteś urżnięty?

— Ależ, zdaje ci się tylko,

— Kiedy wódkę od ciebie czuć?

— To, to.., dziedziczne... bo moja matka na dwa lata przed mojem urodzeniem miała gościniec i ja od tego tak zapachem wódki nasiąkłem.

— Panie! przed chwilą odzywałeś się pan coś o ośle!... Czy to się może przypadkiem do mnie odnosić miało?!...

— Ależ broń Boże! przecież na świecie jest tyle osłów!...

Nakładem i drukiem Fr. Chociszewskiego w Poznaniu — Redaktor odpowiedzialny Franciszek Lazarkowski w Poznaniu.